

Classics To Go

THE TRANSITION
OF JUAN ROMERO

PRZEMIANA JUANA ROMERO



H. P. Lovecraft

H.P. LOVECRAFT

PRZEMIANA JUAN ROMERO

(THE TRANSITION OF JUAN ROMERO)



PRZEMIANA JUANA ROMERO

Nie mam zbytnej ochoty mówić o wypadkach, które miały miejsce w kopalni Hortona nocą z osiemnastego na dziewiętnastego października 1894 roku. Jedynie poczucie obowiązku wobec nauki zmusza mnie do wskrzeszenia, w ostatnich latach mego życia, obrazów i zdarzeń przerażających tym bardziej, że nie jestem w stanie w żaden sposób ich wytłumaczyć. Jednak zanim umrę powinienem chyba opowiedzieć wam to, co wiem na temat zdarzenia, które określam mianem przemiany Juana Romero.

Moje nazwisko i pochodzenie nie muszą zostać zapamiętane przez potomnych – prawdę mówiąc lepiej, aby poszły w zapomnienie, bo kiedy człowiek przenosi się nagle z kolonii do Stanów, zostawia za sobą całą przeszłość. Poza tym, to kim byłem, nie ma najmniejszego związku z moją opowieścią, a na uwagę może jedynie zasługiwać fakt, iż podczas mojej służby w Indiach czułem się bardziej swojsko wśród białobrodych hinduskich nauczycieli niż wśród moich rodaków – oficerów. Zdołałem zgłębić wiele spośród nauk Wschodu, gdy nieszczęśliwym zrzędzeniem losu znalazłem się na zachodzie Stanów, i tam przyszło mi rozpocząć nowe życie. Wraz z nim przyjąłem również nowe nazwisko – proste i nie mające głębszego znaczenia.

Latem i jesienią 1894 roku znajdowałem się u podnóża posępnego pasma Gór Kaktusowych, gdzie jako prosty robotnik podjąłem pracę w kopalni Nortona, która odkryta kilka lat wcześniej przez podstarzałego poszukiwacza złota sprawiła, iż cały ten zapomniany dotąd przez Boga i

ludzi region stał się nagle przystanią dla wszelkiego rodzaju szumowin i mętów.

Jaskinia złota, znajdująca się głęboko pod górskim jeziorem, przyniosła staremu poszukiwaczowi niewyobrażalną fortunę a obecnie zmieniała się w siedlisko rozległych korytarzy, gdzie prace poszukiwawcze prowadzili robotnicy z korporacji, która koniec końców odkupiła kopalnię od jej poprzedniego właściciela.

Odnaleziono kolejne groty, a złoża żółtego metalu były niewyobrażalnie bogate; do tego stopnia, iż potężna, niejednolita armia górników harowała dzień i noc w rozlicznych korytarzach i tunelach. Kierownik, pan Arthur, często rozprawiał o osobliwościach tutejszych formacji geologicznych, spekulując na temat możliwości istnienia dłuższego ciągu jaskiń i oszacowując przyszłość gigantycznych prac wydobywczych. Jego zdaniem istnienie podziemnych grot było rezultatem działań wody i wierzył, że niebawem zostanie otwarta ostatnia z nich.

Niedługo po moim przybyciu i podjęciu pracy w kopalni Nortona zjawiał się tu Juan Romero. Był on jednym z całej rzeszy niechlujnych, obdartych Meksykanów, którzy ścignęli z sąsiedniego kraju, i z początku zwracał uwagę jedynie swymi indiańskimi rysami. Twarz jego miała jednak nieco jaśniejszy odcień i wydawała się łagodniejsza w porównaniu z topornie ciosanymi obliczami innych przybyłych tu Latynosów, czy miejscowych Indian. To zadziwiające, że pomimo iż tak bardzo różnił się od rzeszy swoich rodaków, nie wydawało się by Romero miał w swoich żyłach choć odrobinę krwi kaukaskiej. Na jego widok wyobraźnia nie podsuwała mi obrazu hiszpańskiego konkwistadora czy amerykańskiego pioniera, lecz pradawnego, szlacheckiego Azteka. Zawsze wstawał wczesnym rankiem i z fascynacją wpatrywał się w słońce, przesuwające się wolno ponad górami na wschodzie, unosząc przy tym do góry obie ręce, jakby wykonywał jakiś

pradawny rytuał, którego natury nawet on nie rozumiał. Jednak poza rysami twarzy Romero nie przejawiał żadnych innych oznak, nobliwości czy azteckiej dojrzałości.

Brudny, obdarty nieuk, czuł się najlepiej w towarzystwie innych brązowoskórych Meksykanów, i jak mi później powiedziano, przyszedł na świat w okolicy, gdzie mieszkańcy cierpieli najdotkliwszą nędzę.

Znaleziono go, kiedy był jeszcze niemowlęciem, w prymitywnym górskim szałasie. Tylko on uszedł z życiem z epidemii zarazy, jaka tamtędy przeszła.

W pobliżu chaty, opodal raczej niezwyklej szczeliny w skale, leżały dwa szkielety obrane niedawno z mięsa przez sępy; prawdopodobnie to było wszystko, co pozostało z jego rodziców.

Nikt nie wiedział jak się nazywali i niebawem większość zupełnie o nich zapomniała. Kiedy zaś chata z adoby obróciła się w gruzy, a niewielka lawina spowodowała zasypanie skalnej szczeliny, w zapomnienie poszła nawet scena tragedii. Wychowywany przez meksykańskich złodziei bydła, którzy dali mu imię, Juan nie różnił się zbytnio od swoich towarzyszy.

Więź jaką Romero odczuwał wobec mnie była bez wątpienia związana z dziwnym, starym hinduskim pierścieniem, który nosiłem kiedy nie pracowałem na przodku. Nie mogę powiedzieć nic na temat jego natury i sposobu w jaki znalazł się w moim posiadaniu. Było to ostatnie ogniwo wiążące mnie z rozdziałem życia, który uważałem za bezpowrotnie zamknięty. Stanowił więc dla mnie ogromną wartość.

Niebawem zauważyłem, że dziwnie wyglądający Meksykanin wyraźnie się nim interesował – przyglądał mu się z wyrazem twarzy, który zdawał się świadczyć o czymś więcej, aniżeli o zwykłej chciwości czy zawiści. Widniejące na pierścieniu hieroglify zdawały się przywoływać w jego prostym, acz byстрыm umyśle dziwne, mgliste wspomnienia, choć z całą

pewnością nie mógł ich wcześniej oglądać. W ciągu kilku tygodni od swego przybycia do kopalni, Romero stał się nieomal moim wiernym sługą, mimo że byłem przecież jedynie zwykłym, szarym górnikiem.

Nasze rozmowy były z konieczności ograniczone. Romero znał jedynie kilka słów po angielsku, ja zaś stwierdziłem, że mój oxfordzki hiszpański znacznie różnił się od patois peonów z Nowej Hiszpanii.

Wypadek o którym mam tu opowiedzieć, był na dłuższą metę nie zapowiedziany. Pomimo iż Romero interesował mnie, a on z kolei wydawał się być przyciągany do mnie przez tajemniczy pierścień, sądzę, że żaden z nas nie spodziewał się tego, co nastąpiło po kolejnym wielkim wybuchu w kopalni.

Geologiczne przewidywania zakładały rozszerzenie kopalni przez pogłębienie głównego szybu, od najniższej położonej części podziemnego wyrobiska. Kierownik, sądząc iż napotkają jedynie litą skałę nakazał założenie zwiększonego ładunku dynamitu. Ani ja, ani Romero nie byliśmy przy tym, toteż po raz pierwszy o niezwykłym odkryciu dowiedzieliśmy się od innych robotników.

Ładunek – być może jeszcze silniejszy niż wcześniej postanowiono – zdał się wstrząsnąć posadami całej góry. Fala uderzeniowa wybiła wszystkie okna w barakach ustawionych na górskim zboczu, a górników znajdujących się w podziemiach dosłownie zbiła z nóg. Jezioro Klejnotów, położone powyżej miejsca zdarzenia, zafalowało jakby przeszło nad nim tornado. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że pod miejscem gdzie założono ładunek, otwarła się nowa, mroczna czeluść, tak monstrualna, że do jej dna nie sięgały żadne ze znajdujących się w obozowisku lin, ani światło lamp.

Zakłopotani górnicy udali się na dłuższą rozmowę z kierownikiem, który nakazał by do szybu zniesiono cały zapas lin, powiązano je i opuszczono w głąb czeluści w celu odkrycia i zbadania dna otchłani.

Niedługo potem bladzi robotnicy powiadomili kierownika o swoim niepowodzeniu. Zdecydowanie, acz taktownie dali do zrozumienia, że nie wejdą już więcej do szczeliny ani nie zamierzają ponownie podjąć pracy w kopalni, dopóki otwór nie zostanie zasypany.

Musieli najwyraźniej mieć do czynienia z czymś niewytłumaczalnym, bo jak sami stwierdzili, otchłań w głębi szybu zdawała się nie mieć końca.

Kierownik nie ukarał ich, ani nie upomniał. Miast tego zamyślił się głęboko, zastanawiając się nad planami na kolejny dzień.

Tego wieczora nocna zmiana nie podjęła pracy. O drugiej w nocy na górskim zboczu zaczął posępnie wyc samotny kojot.

W odpowiedzi, gdzieś spomiędzy baraków, rozległo się szczekanie psa; nie sposób określić, czy pies czekał na kojota czy na coś innego.

Zanosiło się na deszcz.

Wokół wierzchołków gór zbierały się burzowe chmury o dziwnych kształtach, przesuujące się chyżo po atramentowym niebie, które, spoza wielu warstw cirrostratusów, usiłował rozświetlić swym blaskiem blady sierp księżyca.

Obudził mnie głos Romera, dochodzący z pryczy powyżej – głos przepełniony podnieceniem, napięciem i niepojętym dla mnie wyczekiwaniem.

– Madre de Dios! El sonido. Ese sonido. Orga Vd! Lo oyte Vd?

– Senior, Ten dźwięk!

Nadstawiłem ucha, zastanawiając się o co mu chodziło. Słysząc było jedynie kojota, psa i burzę, przy czym ta ostatnia wyraźnie przybierała na sile, a wiatr zawodził z coraz większą zaciętością. Za oknem baraku widać

było bladobrzyste smugi błyskawic. Zwróciłem się do zdenerwowanego Meksykanina pytając go o odgłosy, które słyszałem.

– El coyote? El perro? El viento? Romero nie odpowiedział. Wyszepiał tylko, z trwogą w głosie:

– El ritmo, Senior. El ritmo de la tierra.

– To pulsowanie w ziemi!

Teraz i ja je usłyszałem; usłyszałem i nie wiedząc czemu wzdrygnąłem się. Gdzieś z ziemi, głęboko pode mną, dobywał się dźwięk, rytm, jak to określił peon, który choć słaby był w stanie zdominować wycie kojota, szczekanie psa czy zawroźnienie nadciągającej burzy, nie sposób tego opisać; i bynajmniej nie zamierzam tego czynić. Być może dałoby się porównać do rytmu silników w maszynie wielkiego okrętu, pulsowania wyczuwanego poprzez deski pokładu, ale nie było ono tak zimne, suche i mechaniczne – nie było pozbawione elementów życia i świadomości. Spośród wszystkich tych cech najbardziej uderzyło mnie poczucie niepojętej głębi.

W myślach przemknął mi fragment z Glanvila, który Poe cytował z tak wstrząsającym efektem:

„Ogrom, głębia i niezmiennosc Jego dzieł, które zawierają w sobie większą czeluść, aniżeli studnia Demokryta”.

Nagle Romero poderwał się ze swojej pryczy zatrzymując się przede mną, by łypnąć na dziwny pierścień na mojej dłoni, połyskujący osobliwie w świetle błyskawic, po czym skierował wzrok w stronę szybu kopalni. Ja również wstałem i przez dłuższą chwilę trwaliśmy w bezruchu wsłuchując się w niewiarygodny rytm, który, jak wszystko na to wskazywało, przybierał na sile.

Zgoła bezwolnie poczęliśmy przesuwać się ku drzwiom które, łomoczące i targane podmuchami wichury, dawały nam kojące poczucie

ziemskiej rzeczywistości.

Śpiew w czeluści – bo tym właśnie zdawał się być ów dźwięk – narastał i stawał się coraz wyraźniejszy. Nagle obu nas przepełniła nieodparta chęć, by wybiec w szalejącą burzę i zanurzyć się w posępną, mroczną otchłań szybu.

Nie napotkaliśmy nikogo – robotnicy zostali bowiem zwolnieni z nocnej zmiany i najprawdopodobniej przesiadywali teraz w Dry Gulch, karmiąc jakiegoś ospałego barmana garścią złowieszczych plotek. Jedynie okno chaty stróża jarzyło się żółtym światłem, niczym Oko Opatrzności. Przez krótką chwilę zastanawiałem się jak rytmiczny dźwięk wpłynął na stróża; Romero jednak szedł teraz szybciej i niezwłocznie podążyłem za nim.

Gdy weszliśmy do szybu, dźwięk dochodzący z dołu stał się wreszcie wyraźny i rozpoznawalny. Z przerażeniem stwierdziłem, iż kojarzy mi się on z jakąś orientálną ceremonią, której towarzyszy bicie w bębny i chóralne śpiewy. Jak zapewne zdajecie sobie sprawę spędziłem w Indiach sporo czasu i niejedno miałem okazję zobaczyć. Romero i ja przemierzaliśmy kolejne korytarze i schodząc po drabinkach, zdawałoby się bez odrobiny wahania, zbliżaliśmy się ku przywołującemu nas nieznanemu. W głębi serca odczuwałem dręczący strach, niepokój i niepewność.

W pewnym momencie miałem wrażenie, że popadłem w obłąd – stało się to wtedy, gdy zastanawiałem się jakim cudem, pomimo, iż nie mieliśmy świec ani lamp, coś oświetlało nam drogę. Uświadomiłem sobie, iż stary pierścień na moim palcu emanował dziwnym blaskiem, który rozrzedzał mrok panujący w wilgotnym korytarzu rozciągającym się na wprost i wokół nas.

Nagle, bez ostrzeżenia, Romero ześlizgnąwszy się po jednej z szerokich drabinek, puścił się biegiem pozostawiając mnie samego.

Jakaś nowa, dziwna nuta w odgłosach bębnow i śpiewie – dla mnie praktycznie niezauważalna – wywarła nań niewiarygodny wpływ. Mój towarzysz z dzikim okrzykiem pomknął przed siebie i znikł w panującym w głębi korytarza półmroku.

Słyszałem jego powtarzające się krzyki, gdy biegnąc kilkakrotnie się potknął i ześlizgiwał się jak oszalały po rozchwianych drabinkach. Pomimo iż byłem przerażony, zdołałem zwrócić uwagę, że jego słowa – te artykułowane – wypowiedane były w nie znanym mi języku. Ostre, ale wyraziste wielosylabowe wyrazy zastąpiły mieszankę kiepskiego hiszpańskiego i jeszcze gorszego angielskiego, którym się zwykle posługiwał, a spośród nich najbardziej znajomym i zrozumiałym wydawało się głośne: „HUITZILOFOTCHLI”.

Później zdołałem odnaleźć to słowo w dziełach wielkiego historyka – i wzdrygnąłem się, kiedy zrozumiałem jego znaczenie.

Kulminacja owej okropnej nocy była złożona, choć krótka i rozpoczęła się z chwilą, kiedy dotarłem do ostatniej, w naszej podróży, jaskini.

Z ciemności przede mną dobiegł ostatni wrzask Meksykanina, po którym rozległ się chór tak nieczystych, bluźnierczych głosów, że nie mógłbym usłyszeć go powtórnie i pozostać przy życiu. W tym momencie miałem wrażenie, jakby wszystkie ukryte lęki, koszmary i potworności ziemi ujawniły się w zjednoczonym wysiłku opanowania całej ludzkiej rasy. Jednocześnie blask mego pierścienia zgasł i zobaczyłem nowe światło bijące z dołu, o kilka stóp przede mną. Dotarłem do czeluści, która jarzyła się teraz czerwono, i która bez wątpienia pochłonęła nieszczęsnego Romero.

Zbliżywszy się, zajrzałem ponad krawędzią w głąb bezdennej otchłani, której wnętrze stanowiło teraz istne pandemonium buchających płomieni i upiornego ryku. Z początku nie zauważyłem nic prócz świecącego,

mglatego, wirującego obłoku – jednak już po chwili, z chaosu poczęły wyłaniać się kształty i ujrzałem... czyżby to był Juan Romero? Boże! Nie odważę się powiedzieć wam co zobaczyłem! Nagle, jakaś moc z niebios przysłała mi z pomocą pozbawiając mnie zarówno wzroku jak i słuchu, w jednym rozdzierającym huku, przeraźliwej kakofonii dźwięków, jaka mogła towarzyszyć zderzeniu się w kosmosie dwóch wszechświatów.

Nastał chaos, a potem znalazłem spokoju zapomnienia.

Nie wiem jak mam mówić dalej, gdyż w grę wchodzi dwa osobliwe zdarzenia, choć zrobię co w mojej mocy. Nawet nie będę się starał oddzielać rzeczywistości od ułudy.

Kiedy się obudziłem, leżałem bezpieczny na mojej pryczy, a okno barwiła czerwona poświata wschodzącego słońca. W pewnej odległości, na stole, leżało martwe ciało Juana Romero, otoczone przez grupkę ludzi, wśród których zauważyłem też obozowego doktora. Mężczyźni rozmawiali o dziwnej śmierci, która zaskoczyła Meksykanina we śnie. Śmierć ta musiała być w jakiś sposób związana z wyjątkowo silnym piorunem, który uderzył i zatrzęsł całą górą. Nie było żadnych widocznych śladów, a autopsja nie stwierdziła konkretnej przyczyny zgonu Romero.

Z fragmentów rozmów jasno wynikało, że w nocy ani ja, ani Juan nie opuściliśmy baraku, i że obaj smacznie spaliśmy podczas przerażającej burzy, jaka rozszalała się nad Górami Kaktusowymi. Burza ta – stwierdzili robotnicy, którzy weszli do szybu kopalni – spowodowała potężny zawał i całkowite zasypanie głębokiego otworu, którego pojawienie się poprzedniego dnia spowodowało tyle kłopotów i niepokojów. Kiedy zapytałem stróża jakie odgłosy słyszał przed owym potwornym hukiem gromu, odparł, że wycie kojota, szczekanie psa i zawroźnienie wiatru. Nic więcej. Nie wątpiłem, że mówił prawdę.

Po podjęciu robót kierownik, pan Arthur, wezwał kilku zaufanych ludzi, aby przeprowadzić parę prób wokół miejsca, w którym otworzyła się bezdenna otchłań. Niezbyt ochoczo, ale jednak wykonali polecenie i przeprowadzili głębokie wiercenia. Rezultaty były nader interesujące i osobliwe. Pokrywa szczeliny, kiedy ją otwarto była bardzo cienka, teraz jednak wszystko wskazywało na to, iż górnicy wiercili otwory w litej skale. Nie znalazłszy nic więcej, i ani grama złota, kierownik nakazał wstrzymanie prac. Czasami jednak, kiedy pogrążony w zamyśleniu siedzi przy swoim biurku, na jego obliczu pojawia się wyraz zdziwienia i zakłopotania.

Należy wspomnieć o jeszcze jednej dziwnej rzeczy, niedługo po tym jak obudziłem się rano, po nocnej burzy, stwierdziłem iż nie mam na palcu swego hinduskiego pierścienia. Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Był dla mnie bardzo cenny, ale mimo to jego zniknięcie sprawiło mi wyraźną ulgę. Jeżeli było to sprawką kogoś z górników, musiał być on naprawdę wyjątkowo sprytnym złodziejem, umiejącym szybko i sprawnie pozbywać się swoich łupów, gdyż pomimo ogłoszeń i przeszukań dokonanych przez policję, pierścień nigdy się nie odnalazł. W gruncie rzeczy wątpię, aby skradły mi go ręce śmiertelnika, bowiem w Indiach nauczono mnie wielu dziwnych, sekretnych rzeczy.

Moje zdanie na temat tego zdarzenia zmienia się od czasu do czasu. Za dnia, niemal przez cały rok, jestem skłonny przypuszczać, iż większość tego co doświadczyłem była jedynie snem. Bywa jednak, że jesienią, gdy o drugiej w nocy wiatr i zwierzęta zawodzą żałośnie, mam wrażenie, iż odbieram dochodzące z wnętrza ziemi upiorne, rytmiczne pulsowanie... i czuję, że przemiana Juana Romero była naprawdę przerażająca.